

jąc eksperymenty psychologiczne Milgrama, stwierdza, że jednym z powodów łatwego ulegania skłonności do okrucieństwa jest to, iż "pewnym ludziom przyznano totalną, wyłączną i nieograniczoną władzę nad innymi" (s. 234). A moim zdaniem należałoby dodać, że przyznano ją właśnie na mocy ideologii obowiązującej w państwie totalitarnym. Bez ideologii totalitarnej, bez totalitarnego państwa i utożsamionej z nim totalitarnej partii, nawet najambitniejsza biurokracja nie doprowadziłaby zapewne do Holocaustu.

W jeszcze większym stopniu odnosi się to - jak sędzę - do ludobójstwa stalinowskiego. Zastanawiające jest zresztą, że w książce Z. Baumana jest tak mało odniesień do *Archipelagu Gulag* (porównaj krótkie wzmianki: s. 134-135, 137, 158, 162, 231, 273-274). Jest to zastanawiające przede wszystkim z tego powodu, że to właśnie reżim bolszewicki aspirował do reprezentowania ideałów nowoczesnej racjonalności (wystarczy powołać się chociażby na wizje przyszłego komunistycznego królestwa absolutnej racjonalności, rozsnuwane przez Lwa Trockiego czy Aleksandra Bogdanowa). W każdym razie, łatwiej wskazać istnienie genetycznych związków między doktryną marksizmu sowieckiego i tradycją myśli oświeceniowej (L. Kołakowski w eseju *Komunizm jako formacja kulturalna* utrzymuje, że komunizm w wydaniu stalinowskim był "ostatecznym, najbardziej konsekwentnym, a przez to samo-niszczycielskim wyrazem" Oświecenia) niż uzasadnić tezę o nierozzerwalnej więzi między rasistowską ideologią hitleryzmu a racjonalizmem oświeceniowym.

Jeśli Z. Bauman tego nie czyni, to widocznie dlatego, że musiałby przyznać, iż winą za Holocaust należałoby obciążyć nie tyle Nowoczesność jako taką, lecz Nowoczesność zdegenerowaną w postaci państwa totalitarnego i będącą zaprzeczeniem ideałów Oświecenia (w wypadku hitleryzmu mamy do czynienia z jawną zdradą haseł oświeceniowych, w wypadku stalinizmu - ze zdradą zakamuflowaną frazeologią racjonalistyczną i humanistyczną). Dostrzegam tutaj pewną niekonsekwencję w stanowisku Z. Baumana. Otóż Autor podkreśla, że jedyną obroną przed inwazją barbarzyństwa autorytarno-ksenofobicznego jest rozwijanie samorządności, podtrzymywanie pluralizmu społecznego, kulturalnego i politycznego; krótko mówiąc - wzmacnianie "społecznej bazy demokracji" (s. 165). A jednocześnie unika stwierdzenia, że demokracja liberalna jest przecież wytworem epoki Nowoczesności.

Zygmunt Bauman

O nowoczesności TEJ Zagłady - raz jeszcze

Jestem niezmiernie wdzięczny uczestnikom dyskusji za to, że zadali sobie trud by obnażyć ułomności autorskiego rozumowania, postawić pytania ważne a przez autora po macoszemu potraktowane lub wręcz nie zauważone, oraz wskazać na tezy wątpliwe lub nie dość przekonujące by istniejące wątpliwości rozproszyć.

Wiem aż nadto dobrze, jakim wyzwaniem dla sił intelektualnych i moralnych jest wysiłek "zrozumienia" mechanizmu Zagłady, a już szczególnie próba prześledzenia tych jego kół zamachowych i pasów transmisyjnych którymi sprawcy Zagłady mogli się posłużyć, nie musząc ich wprowadzić w ruch, i które nie przestały się obracać gdy Zagładę zahamowano, sprawców postawiono pod sąd, a ofiarom wystawiono pomniki. Wiem też lepiej niżbym pragnął wiedzieć, że brak nam jak dotąd, rzetelnej wiedzy jak ów mechanizm raz na zawsze unieruchomić i że takiej wiedzy, być może, nie zdobędziemy nigdy; a i brak mi pewności, że gdybyśmy taką wiedzę posiadli, umielibyśmy wcielić ją w życie i znaleźlibyśmy wolę i środki by to uczynić.

Nie przystępuję więc do pisania odpowiedzi na głosy w dyskusji z zamiarem odparcia zarzutów, "wyjaśnienia nieporozumień" czy jakimkolwiek innym sposobem dowodzenia autorskich racji i mylności argumentów polemicznych. Chcę tylko raz jeszcze zatrzymać się na białych plamach argumentacji autorskiej - przez polemistów ujawnionych - aby, korzystając z pomocy moich krytyków, wypełnić te spośród nich, jakie wypełnić potrafię i wyjaśnić, dlaczego nie umiem wypełnić innych. Z konieczności będę musiał wszystko to uczynić pokrótce, sygnalizując raczej kierunek argumentacji, niż rozwijając argumenty tak, jak by tego wymagały.

* * *

Że historia ludzkości pełna była okrucieństwa, że mordy masowe nie są wynalazkiem czasów nowożytnych, nie jest przedmiotem sporu. Kwestią sporną jest to, czy do niezliczonych innowacji cywilizacji nowożytnej zaliczyć też wypada nowe, swoście nowożytne odmiany nieludzkości, czy też, na odwrót, przypadki masowego okrucieństwa jakimi dzieje nowożytne są upstrzone przypisać należy "przeżytkom barbarzyństwa", które cywilizacja nasza poprzysięgła wykorzenić, lecz jak dotąd, nie zdołała wytepić do końca (jak komunizm przypisywał niegdyś korupcję "przeżytkom kapitalizmu"). Jeśli przyjmiemy to pierwsze, wypadnie zastanowić się nad tymi cechami przyrodzonymi nowoczesności (która, jak słusznie powiada profesor Orłowski, "to zarazem postęp i demokracja, to otwarcie na osobowość innowacyjną"), które sprawiły, że cywilizacja obiecująca całkowitą i nieodwracalną pacyfikację bytu ludzkiego otwarła przed okrucieństwem ludzkim możliwości nigdy wprzód nie wyobrażalne. Jeśli przyjmiemy to drugie, założyć nam wypadnie, że lekarstwem na dolegliwości jakie towarzyszyły dotychczasowym dziejom cywilizacji nowożytnej jest większa nowożytność i, że w zwiększeniu tej dawki tkwi gwarancja przeciw schorzeniom przyszłym. Wybór więc to bynajmniej nie o teoretycznym tylko znaczeniu i od odpowiedzi nie tylko zadośćuczynienie harmonii intelektualnej zależy.

Postawiłem sobie zadanie wyjaśnienia, do jakiego wyboru upoważnia doświadczenie epoki pieców i komór gazowych. I doszedłem do wniosków następujących:

Po pierwsze, nie ma ciągłości między historią, jakże okrutnych i krwawych waśni plemiennych, a nowożytną - nowożytną tylko - praktyką ogrodniczą tępienia chwastów ludzkich, dla których brak miejsca w łądzie założonym. Dwa zjawi-

ska należą do układów socjologicznie odmiennych i wymagają odrębnych kategorii analitycznych.

Po drugie, żaden z przepisów cywilizacyjnych na uszlachetnienie moralne stosunków międzyludzkich nie okazał się skutecznym na tyle, by rozładować potencjał zła zawarty w wynalazku w jakim świat nowoczesny, i słusznie, upatruje źródła swych triumfów i przewag; w instrumentalizacji działań jednostkowych i zbiorowych.

Po trzecie, regulacja racjonalna, uznana przez mentalność nowożytną za lek uniwersalny na to, co w ludzkim współżyciu niepożądane, okazała się bronią obusieczną. Dewaluuje i paraliżując autonomię jaźni moralnej, łagodzi ona wprowadzie konflikt jaźni z wymogami ładu ponadjednostkowego - ale zarazem - czyni ją bezbronną wobec zła, jakie ów właśnie ład kultywować może w imię postępu rozumu, a i z góry rozgrzesza ją za słabość objawioną w kapitulacji.

Nie wynika stąd, bym sugerował - jak domyśla się profesor Czerwiński - że ratunku przed złem w wydaniu specyficznie nowożytnym (złem nie tyle b a - n a l n y m, jak chce Hanna Arendt, co r a c j o n a l n y m) szukać należy, i znaleźć można, w rzekomej przyrodzonej dobroci ludzkiej, na którą przecież - tu zgadzam się w pełni z moim oponentem - dowodów żadnych nie mamy. Wynika stąd natomiast, że u kresu nowożytnej przygody znajdujemy się, jako osoby etyczne, w punkcie początkowym. Nie odkryła nowożytność leków cudownych na moralną wieloznaczność egzystencji ludzkiej, drogowskazy nowożytne nie uczyniły dróg ludzkich mniej rozstajnymi, a prawo nie wyręczyło w niczym odpowiedzialności moralnej. W tym to właśnie spostrzeżeniu, bynajmniej nie oryginalnym, zawarte jest powątpiewanie jakie zaniepokoiło profesora Morawskiego: czy aby da się znaleźć odtrutkę na zło racjonalne w apteczce nowożytności.

* * *

W trzech aspektach Zagłada była na wskroś nowoczesna: w narzędziach, organizacji i pomyśle. Wskazanie na dwa pierwsze aspekty jest banalne. O trzecim myśli się i mówi zbyt mało.

Zagłada pozostawała w takim stosunku do wszelkich byłych aktów ludobójczego okrucieństwa, w jakim potaylorowski przemysł współczesny pozostaje do rzemiosła chałupniczego. Wyzyskała ona wszystkie atuty nowożytnego sposobu produkcji: technikę upraszczającą zadania i maksymalizującą ich wykonanie, koncentrację zasobów i centralizację ich dyspozycji, ponadterytorialność i ponadczasowość procesu uniezależnionego od rutyn, rytmów, zwyczajów czy potrzeb lokalnych.

Była też Zagłada możliwa jedynie dzięki nowożytnej naukowej organizacji pracy; skrzętnemu podziałowi i koordynacji zadań, hierarchii zarządzania, troskliwej kalkulacji kosztów, nieustępliwemu poszukiwaniu środków najwydajniejszych dla każdego z zadań częściowych, ścisłej separacji zadań operacyjnych od wszelkich względów dla wykonania zadania nieużytecznych, a wreszcie i tej cesze nowoczesnej technologii działania zbiorowego, jaka czyni jej "samodoskonalenie się" procesem samorzutnym, samonapędowym i niemal niepowstrzymanym; temu

mianowicie, że z biegiem czasu zgromadzone już, bądź możliwe do zdobycia, środki działania szukać poczynają obiektów zastosowania, że obecność środków staje się uzasadnieniem celów na jakie się je obraca (za największą ze zbrodni uznaje wszak umysłowość nowożytna przestój bezużyteczny maszyn, opieszałość w produkcyjnej mobilizacji zasobów, przerost surowca nad przerobem). Wreszcie - i tu chyba związek Zagłady z nowoczesną organizacją działania jest najintymniejszy - efektem łącznym specjalizacji, hierarchii i prymatu środków nad celami jest ścisła separacja między motywami działania zbiorowego a pobudkami wkładów jednostkowych. To, co organizacja jako całość czyni, nie zależy odtąd od postaw moralnych, wierzeń czy ideałów wykonawców. Każdy, kto przyjmuje odpowiedzialność za poprawne wykonanie powierzonej mu funkcji i kto powodowany jest solidarnością koleżeńską, szacunkiem dla zwierzchników i lojalnością wobec podwładnych, może być bez szczególnych trudności włączony do realizacji wszelkich celów. Gdy każdy poczuwa się do odpowiedzialności za powierzoną mu funkcję, nikt nie ponosi odpowiedzialności moralnej za cele, jakim funkcja ta, wraz z innymi z nią sprzężonymi, służy. Efekt ostateczny działania zbiorowego rzadko kiedy jawi się oczom wykonawców, a całości obiektów działania jako przedmiotu troski moralnej nie da się łatwo skleić z moralnie obojętnych fragmentów jakie przydzielono pieczy pojedynczych funkcjonariuszy. Potęga nowoczesnej organizacji pracy na tym właśnie się zasadza, że czyni ona działanie niezawisłym od przyzwyczajzeń, sympatii, solidarności grupowych, reguł prywatnie przestrzeganych - jakie mogłyby skuteczność działania podważać lub wręcz działanie uniemożliwiać. Jeśli pogrom sąsiadów wymagał mobilizacji, emocji tłumu (i jak emocje, musiała być krwiożerczość tłumu krótkotrwała i kapryśna); ludobójstwo nowoczesne zakłada, na odwrót - wyciszenie i neutralizację uczuć oraz samokontrolę racjonalną. Najbardziej zatrważającym odkryciem Zagłady jest to właśnie, że organizacja nowoczesna pozwala na dokonywanie dzieł barbarzyńskich na zimno i na trzeźwo, tak właśnie, jak tego żąda nowoczesny kult rozumu. Męczy więc i spać nie daje nie tyle zagadka "jak o n i mogli tego dokonać", ile podejrzenie (spójrzmy prawdzie w oczy!), że to m y mogliśmy lub możemy - jeśli nie w tym, to w innym akcie ludobójstwa - znaleźć się wśród wykonawców.

A więc sprawa najważniejsza, a zbyt rzadko podnoszona: pomysł. W odróżnieniu od innych aktów ludobójczych - z reguły spazmoksztalnych, wybuchających zniechęci i gasnących niespodziewanie - Zagłada była nie tyle rozładowaniem antagonizmów plemiennych lub niechęci sąsiedzkich, i nie tyle produktem chwilowego rozluźnienia reguł jakie towarzyszą militarnym podbojom, co akcją długofalową, dokonywaną w majestacie prawa i przy zredukowaniu emocji do minimum. Zagłada dokonała się nie "dlatego, że", ale "po to, aby". Była zamierzona - i nawet nie jako cel sam w sobie, ale jako środek do celu - zabieg niezbędny aby cel mógł być osiągnięty. Tym celem był świat idealny - świat doskonały, bez zmazy, harmonijny, przejrzysty, jednoznaczny, skrojony na miarę ludzkiego powołania. Dla inspiratorów Zagłady Żydów i Cyganów, światem idealnym miało być społeczeństwo czyste rasowo; dla inspiratorów Zagłady stalinowskiej, światem idealnym miało być społeczeństwo czyste klasowo. W obu przypadkach Zagłada, rzecz można, była pociągnięciem estetycznym, usunięciem skazy mącącej kompozycję obrazu. Wizja świata idealnego, bajecznego ogrodu o skończonym pięknie i har-

monii całkowitej, wymagała wyłączenia wszystkiego, co ład zakłócało. Rośliny w planie ogrodu nie przewidziane, są chwastami; zaś chwasty to takie rośliny, które należy wytnie lub wykorzenieć. Każdy ogrodnik wie, że troska o ogród to głównie nieustępliwa wojna z chwastami.

Nowoczesność jest snem o harmonii; o tej doskonałości, o jakiej Alberti pisał, że jest stanem, który dodanie lub ujęcie czegokolwiek może tylko zepsuć. Rację ma wprowadzić Andrzej Szahaj, gdy powiada, że nowoczesność zawsze objawiała się w pluralistycznym wielogłosie; istotnie, harmonii było przeznaczone pozostać snem nigdy nie spełnionym. Ale był ów wielogłos kłótnią o model j e d n o g ł o ś n o ś c i ; pluralizm przystankiem na drodze do monolitu (błędów jest bez liku, prawda jest jedna), ambiwalencja zaś niedojrzałą fazą jednoznaczności. Nowoczesność przeżywała wieloznaczność dnia dzisiejszego jako dolegliwość, która jutro będzie, być powinna, być musi, naprawiona; jako ułomność chwilową wynikłą z ignorancji, z nie dość wyciszonych emocji, z nie całkiem uspionych irracjonalizmów. Bogu niech będą dzięki: w większości przypadków wielogłos ratował nowoczesność przed następstwami jej własnych intencji, ale w żadnym z głosów nie dźwięczała radość z wyratowania. Pluralizm był balastem którego trzeba było się pozbyć, by harmonia osiągnąć mogła pełnię ku której zdążała; był kamieniem młyńskim u nogi, krępującym marsz triumfalny Rozumu.

Nowoczesność jest też nieustającym ósmym dniem stworzenia. A także takim dniem, jaki unieważnia, rozbiera na części składowe i na nowy sposób układa to, co ostało się z twórczych zabiegów dni poprzednich. Fakt, że coś jest, nie jest dowodem, że owe coś być powinno; istnienie nie zakłada prawa do istnienia. Nowoczesność ogłasza niedoskonałość porządku naturalnego (w tym też sztucznego porządku dnia wczorajszego); ład, do którego budowy przystępuje, będzie wolny od wszystkiego co przypadkowe, puszczone na żywioł, niedopilnowane, nie wiadomo czemu służące. Wszystko, co w nowym ładzie chce znaleźć miejsce, musi się wpięrczyć wylegitymować przydatnością; wskazać, czemu służy i wykazać, że służy temu naprawdę. Kto nie pracuje, ten nie je. Kto należy do przeżytków skazanych na wymarcie, nie ma prawa do życia. W nowym ładzie znaczenie każdego składnika wyznaczone będzie funkcją w ogólnym porządku rzeczy.

Złóżcie to teraz wszystko razem: technikę, organizację i pościg za harmonią ostateczną, oddajcie to wszystko w ręce władzy absolutnej, zdolnej wyciszyć katonie ideałów i roztasować nieznośną różnorodność po obozach koncentracyjnych - i nic już nie jest w stanie zapobiec ludobójstwu.

Nawet to, z czym czasy nowożytne łączy nadzieję na życie pokojowe, cywilizowane, humanitarne, etycznie nasycone. George Steiner pisał o Wolterze i Arnoldzie, jednym z wielu piewców postępu moralnego obiecanego przez postęp cywilizacji, że ich przywilejem była ignorancja. Nie wiedzieli oni tego, co wiemy my: że humanistyka nie humanizuje, że nauka niekoniecznie rozumowi służy, że wykształcenie nie zawsze oświeca a prawodawstwo etyczne rzadko kiedy uszlachetnia moralnie. Dopiero dzieje Zagłady ujawniły w pełni niemoc patentowanych środków przeciw barbarzyństwu. Że owe środki nie wytłumiły dawnych źródeł barbarzyństwa, nie jest tak wielkim znów odkryciem, ani też ciosem dla nadziei ostatecznym. Zawsze jest przecież następny zakręt do wzięcia, więc może za tym

następnym... Ale okazało się także - a to już wiadomość nowa i cios dotkliwy - że cokolwiek by się nie wydarzyło na froncie walki z barbarzyństwem dawnym, flanki batalionów postępu są ze wszech stron obnażone. Tradycyjne szyki barbarzyństwa są, bądź nie są, w odwrocie ale nowe zastępy, być może korzystając z odwrócenia uwagi, a być może zapraszane do wojennego sojuszu lub tolerowane w nadziei na korzyści taktyczne, okopują się na coraz to nowych terenach. Dokonawszy rachunku starych i nowych gwałtów na ludzkości, Ulrich Beck (w *Gegengifte*, 1988) nazwał nowoczesność "modernizacją barbarzyństwa" i stwierdził, że od czasów Hitlera modernizacja poczyniła postępy o jakich się nazistowskim wizjonerom nie śniło. Nie słyszeli oni przecież o inżynierii genetycznej, o "nieodpowiedzialności zorganizowanej" przez cedowanie decyzji na komputery, ani o środkach zniszczenia totalnego skrojonych w końcu na miarę wizji totalnych. Zaś norweski kryminolog Nils Christie (w *Crime Control as Industry*, 1992) doszedł do wniosku, że "uprzemysłowienie" przemocy nie wymaga już puklerza rządów totalitarnych. Kwitnie ono bez przeszkód w demokracji dnia dzisiejszego, coraz obojętniejszej na pragnienia mniejszości i definiującej prawa obywatelskie jako prawo do nie zwracania sobie głowy dobrem publicznym i troską o tych, co troski potrzebują.

Duch nauki? Ależ on to właśnie współdziałał z operacją *Endlösung* z podziwu godnym oddaniem. Nie pozostały co do tego żadne wątpliwości po opublikowaniu studiów Detleva Paukerta, Roberta Proctora, Benno Müller-Hilla; w ostatnio wydanym zbiorze studiów pod redakcją Josiane Olff-Nathan (*La science sous le Troisième Reich*, 1993), burzy się ostatecznie mit o cichym sprzeciwie niemieckiej nauki akademickiej jako całości, wobec politycznego zaangażowania garstki przeciwniwców w rodzaju Filipa Lenarda czy Johannes Starka, luminarzy wiedzy i laureatów Nobla, którzy otwarcie opowiedzieli się po stronie Hitlera i jego wizji aryjskiego świata. Wedle danych zebranych przez Benoit Massina, antropologowie, profesorowie nauk medycznych i genetycy niemieccy niemal bez wyjątku inicjowali i skrzętnie wykonywali prace podbudowujące eugeniczno-rasowe zamierzenia władz.

Ale i na tej uległości przecież nie koniec. Zanim Hitler został zlecniodawcą, był on pojętnym uczniem. Miał Hitler obsesję higieny, strach przed degeneracją i rozkładem, przemożną potrzebę medykalizacji świata ludzkiego i wiarę niezachwianą, że wsparta wiedzą wola może uczynić świat bezpiecznym dla tych, co na bezpieczeństwo zasługują, eliminując ze świata tych, co są niebezpieczeństwem - a wszystkiego tego nauczył się przecież od Woltmanna, Plötza, Fischera, Bindin-ga, Hoche, Baura, Lenza i mnóstwa innych, powszechnie uznanych i szanowanych koryfeuszów nauki nowoczesnej (wszystkie bez wyjątku autoratywne czasopisma socjologiczne demokracji zachodnich opublikowały w latach trzydziestych bezkrytyczne, a na ogół entuzjastyczne, omówienia książki Baura, Fischera i Lenza *Menschliche Erblchkeitslehre und Rassenhygiene*, która służyła za oficjalny podręcznik nazistowskiej polityce populacyjnej). Rzecz nie w tym tylko, że naukowcy słuchali narodowych socjalistów - to nauka odpowiedziała narodowemu socjalizmowi podstawowe założenia polityki wobec ras niedoskonałych i niebezpiecznych, zboczeńców seksualnych czy ludzi umysłowo niewydolnych. To psychiatrzy o niekwestionowanych kwalifikacjach naukowych wypracowali w laboratoriach "hu-

manitarne" narzędzia mord, zastosowane wpierw w operacji *Gnadentodt*, a później - już w skali masowej umożliwionej przez pomysłowość i rzetelny wysiłek inżynierów - wobec Żydów i Cyganów.

Nawet jednak tu jeszcze rachunek się nie kończy. Tłem dla związków intymnych między czystą wiedzą a brudną praktyką jest przecież pobudzone, podsycane i gorliwie przez "duch nauki nowoczesnej" propagowane *délire universaliste de la table rase* (by użyć celnego wyrażenia Jean-Marie Benoist) - owa "wizja prometejska początku absolutnego jaka usprawiedliwia wszelkie okrucieństwo". Walka toczy się między nauką a ciemnogrodem. W tej walce kompromis jest hołdem wsteczniectwu. Nikomu i niczemu nie wolno stanąć w poprzek postępu nauki. I żadne ofiary nie są wygórowane, jeśli złoży się je na ołtarzu postępu. Mord w imieniu postępu jest zabiegiem leczniczym, tortura terapią, cierpienie tych tutaj, warunkiem szczęśliwości tamtych oto.

Są wszakże normy etyczne? Nowoczesność przyniosła we wianie *habeas corpus*, powszechność elementarnych praw ludzkich, uczyniła państwo wyłącznym dysponentem środków przemocy fizycznej, wytępiła lub zapędziła w podziemie, okrutne często i bezwzględne wobec jednostek, praktyki plemienne i tradycje lokalne, zakazała praktyk barbarzyńskich wszędzie tam, gdzie zdołało sięgnąć jej prawo, wsparte na nietykalności jednostki i domagające się skrupulatnego zbadania winy przed wymierzeniem kary; czy nie jest faktem, że wzniesiona do godności prawa wszechobowiązującego i strzeżona przez moc prawa etyka nowożytna wyznaczyła granice gwałtu i nałożyła kaganiec popędom i instynktom, afektom niekontrolowanym i przyrodzonej, nieobliczalnej w skutkach, agresywności ludzkiej? Czy nie jest prawdą, że majestat nowożytnego prawa chroni współzycie ludzkie przed ludzkim egoizmem?

Tak powiada w każdym razie "wersja oficjalna" tego, co się stało. Wersja, jaką posługuje się skwapliwie państwo nowożytne dla uzasadnienia swego monopolu przemocy, dla obrony granicy między przymusem, czyli gwałtem przez siebie stosowanym lub sankcjonowanym, a gwałtem, czyli przemocą stosowaną przez innych i przez siebie nie sankcjonowaną; wersja, jaką powtarzają na wiele głosów i sposobów teorie prawa, polityczne i socjologiczne, przyjmujące uzurpację prawodawstwa etycznego przez administratorów przemocy za tę "rzeczywistość obiektywną" która stanowi punkt wyjścia wszelkiego rzetelnego badania naukowego.

Ale i tej wersji oficjalnej Zagłada zadała kłam. To ludobójstwo nie było "przerwą w życiorysie" praworządnego państwa. To ludobójstwo dokonało się w majestacie prawa. Jego wykonawcy nie popadli ani na chwilę w konflikt z zasadami etycznymi uświęconymi przez prawodawstwo państwowe. Wedle obowiązujących standartów byli oni "cnotliwymi, praworządnymi obywatelami". Gdyby uznało się bez zastrzeżeń wersję oficjalną, nie byłoby procesów norymberskich, nie można byłoby sprawców zbrodni pomówić o zwyrodnienie moralne. Ta etyka, której zasady w społeczeństwie nowoczesnym formułuje prawo państwowe, nie została przecież pogwałcona. Zasady forsowane przez władze legalne okazały się być w konflikcie z nieskodyfikowanym, zwiewnym i nieuchwytnym "poczuciem moralnym". Zaś owo "poczucie moralne", do którego oskarżyciele czuli się zmuszeni odwołać, okazało się bezbronne w obliczu okrucieństwa prawa.

Próbuję w swej książce dociec natury procesów, które do takiej bezbronności doprowadzić mogły i sprawdzić, czy aby nie istnieje związek intymny między rozejściem się dróg prawodawstwa moralnego i tego, co ujmujemy intuicyjnie jako "poczucie moralne" z jednej strony - oraz bezsilą impulsów moralnych wobec społeczeństwo sankcjonowanego zła - z drugiej. Próbuję też dociec gdzie należałoby szukać korzeni owego "poczucia moralnego", jeśli zawiódł podurkheimowy folklor socjologiczny, który mianuje wspartą sankcjami wolę społeczną jedynym autorytetem etycznym.

Wnioski, do jakich doszedłem, nakazują poddać rewizji powszechnie niemal przyjęte założenia socjologicznej wizji moralności. Społeczeństwo i państwo nowożytnie działające w jego imieniu nie tworzą moralności *ab ovo*, manipulują one jedynie zastanymi impulsami moralnymi - kanalizując impulsy etyczne, kreśląc granice zobowiązań moralnych, dzieląc zbiorowość ludzką na "swoich", będących przedmiotem odpowiedzialności moralnej i "obcych", którzy nim nie są, zaciągając popęd altruistyczny na służbę grupowego egoizmu i wyłączając pokąźną sferę działań ludzkich z gestii ocen moralnych, poddając je w zamian kryteriom dyscypliny organizacyjnej, racjonalności instrumentalnej lub zgola poprawności proceduralnej. To ostatnie zjawisko - tendencję do traktowania rosnącej kategorii postępów ludzkich jako obojętnych moralnie - nazwałem (zpożyczając termin z języka dawnych soborów kościelnych) adiaforyzacją etyczną stosunków międzyludzkich.

Formy i mechanizmy manipulacji są wielorakie ale łączy je jednolitość efektu. Wszystkie one prowadzą mianowicie do wyłączenia jaźni etycznej, negacji i unicestwienia autonomii moralnej, krzewienia niewiary w walor sądu etycznego nie zatwierdzonego przez społeczne autorytety, w sumie, do impotencji jednostki jako podmiotu postępowania moralnego, a nade wszystko, do rozgrzeszenia z bezwzględnej i niecedowalnej odpowiedzialności moralnej, bez jakiej (jak to słusznie spostrzegł Andrzej Miś) jaźń moralna jest nie do pomyślenia, i wobec której wszelkie prawodawstwo etyczne może pełnić jedynie rolę protezy, i to wielce prymitywnej.

* * *

Sugeruję więc w książce o Zagładzie (i myśl tę rozwijam w zakończonej ostatnio *Etyce Ponowoczesnej*), że zbiorczym wynikiem przełomu nowoczesnego w kondycji-moralnej jest nie tyle wzmożenie tętna moralnego, co spustoszenie moralne obszaru stosunków międzyludzkich. To prawda, że proces norymberski był, w tym samym stopniu co i jego podsądni, zdarzeniem bez precedensu w społeczeństwach przednowożytnych. Ale sądzili tam przecież pobitych militarnie sprawców Oświęcimia zwycięscy sprawcy Hiroszimy i Gułagu. A kto sądził przywódców boerskich za eksterminację Hotentotów, Karla Petersa za rozkaz wyróżnienia tubylców Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, króla belgijskiego Leopolda II za zredukowanie ludności Konga z dwudziestu do ośmiu milionów? Autorzy Oświęcimia oddani zostali pod sąd, ale nie słysząc jakoś o procesach autorów Gułagu, a już nigdy chyba nie usłyszymy o rozprawie nad autorami Hiroszimy. Jak zauwa-

żyła ostatnio Hélé Béji (w *Le Débat*, 1993), "sprawiedliwość łączy z niesprawiedliwością jedna cecha wspólna: obie potrzebują autorytetu siły przemożnej". Tylko demonstracja siły przekuć może pamięć tragedii w zakaz moralny (a tym bardziej w wiążący zakaz moralny). Wydawać się może ta wypowiedź cyniczna (choć jest ona raczej wyrazem zgorzknienia i desperacji), ale przecież artykułuje ona jedynie ów cynizm powszechny z jakim władza - wszelka władza - stroi swą moc narzucania woli w piórka wyższości moralnej.

Kilku dyskutantów, i nie bez racji, powątpiewa w realizm sugestii jakie formułuję na ruinach nadziei. Rację mieliby całkowitą, gdybym implikował, że nawrót do "przedspołecznych" (to znaczy, nie zracjonalizowanych jeszcze i nie skodyfikowanych przez uznane lub uznania się domagające, wyrocznie etyczne) impulsów czy popędów moralnych, gdyby był praktycznie do osiągnięcia, zapobiegłby radykalnie czynom okrutnym i zapewnił standardy moralne, jakie instytucje nowożytne naiwnie lub kłamliwie, ale z pewnością gołosłownie obiecywały; że instynkt moralny jednostki jest bez skazy, pobudza zawsze do dobrych uczynków i z tego względu może być uznany za tę właśnie gwarancję porządku moralnego, jakiej daremnie szukano dotąd gdzie indziej. Rzecz w tym jednak, że takich domysłów sugestie moje nie implikują (bądź też, w każdym razie, w zamyśle autora implikować nie miały). Nie, nie ustawiam się tymi sugestiami w ortodoksyjnym sporze między wyznawcami dobroci człowieka a ideologami masowej dystrybucji kagańców jako jedyne ratunku przed samobójstwem gatunku ludzkiego; nie, nie opowiadam się w tym sporze po stronie wzruszająco ufnego Jean-Jacque'a przeciw sceptycznemu Hobbesowi. Starałem się natomiast swymi sugestiami zaimplikować, że jakie by nie były wady naszego wyposażenia moralnego, wsparte przymusem prawodawstwo etyczne wad tych nie usunie. Co gorsza, przy okazji skazanych na niepowodzenie starań zadepcze jeszcze ono - i tak wątle - pędy odruchów moralnych w jakich pokładać by mogła moralność nadzieję na spełnienie.

Innymi słowy, gdy dochodzi do konfrontacji ze złem - złem możliwym, zasobnym i pewnym siebie - jaźń moralna okazuje się samotna i pozostawiona sama sobie; tylko ze swych impulsów, z pierwotnego popędu odpowiedzialności za los bliźniego może ona czerpać natchnienie dla oporu. O tej pierwotnej odpowiedzialności, o owym "nakazie" niewypowiedzianym i nie wspartym groźbą kary ani argumentem racjonalnym, strachem przed grzechem czy nadzieją zysku, piszą obszernie i przenikliwie francuski myśliciel Emanuel Levinas i duński filozof etyczny Knud Logstrup. W ujęciu jednego i drugiego ów nakaz milczący, "przykazanie" niewypowiedziane - jedyna kładka na jakiej wesprzeć się może postawa etyczna - jest zarazem bezwzględny i nieograniczony. Bezwzględny - bo wyprzedzający wszelką kalkulację, ocenę racji, zasług i uprawnień obiektu troski oraz zobowiązań jej podmiotu. Nieograniczony - bowiem nic a nic nakaz ten nie mówi o tym, gdzie się odpowiedzialność zaczyna a gdzie kończy i w czym winna się ona wyrazić a w czym wyrażać się nie musi; impuls odpowiedzialności nie wyposażony jest w przepisy postępowania ani w listę okoliczności łagodzących. Rozpoznaje się zatem jaźń moralną po tym, że jest zawsze wobec siebie podejrzliwa i z siebie niezadowolona, że nigdy nie jest pewna czy posunęła się w trosce o bliźniego dostatecznie daleko, czy uczyniła wszystko, co uczynić mogła i powinna. Działanie

moralne nie jest środkiem do żadnego celu, ani nie obiecuje ono żadnych korzyści - nawet kojącego poczucia "dobrze spełnionego obowiązku".

Rozumiem nauki Levinasa i Logstrupa nie jako kolejną wersję mitu przedspołecznej cnoty, moralnie czystego pracźłowika sprowadzonego z drogi uczciwości przez grzech pierworodny czy nikczemność praktyk społecznych. Rozumiem je raczej jako deklarację płonności, a być może i zakłamania prób i obietnic utwierdzenia fundamentów moralności z pomocą kodeksów etycznych, sankcji karnych i zachęty do racjonalnej kalkulacji zysków i strat. Chcieli prawodawcy etyczni zbudować - z wiedzy, z norm prawnych, z zasad logiki, dystans między człowiekiem a człowiekiem, by się na odległość lepiej przyjrzeć, ocenić na trzeźwo kto ma, a kto nie ma tytułu do opieki i współczucia, gdzie należy, a gdzie nie trzeba spieszyć z pomocą. Ale gdzieś tam po drodze, między bliskością a dystansem zgubili ów popęd moralny, który czyni opiekę i sympatię odruchową, a pomoc instynktowną. Powiada Levinas, że pytanie "dlaczego miałbym być moralny" zwiastuje kres, a nie narodziny jaźni moralnej. Na to pytanie nie ma w sensownym społecznie języku odpowiedzi. Nie można "udowodnić" potrzeby bycia moralnym. Ale też moralność, jak długo pozostaje sobą, o uzasadnienie nie pyta i uzasadnienia nie potrzebuje.

Mało w tym wszystkim pociechy dla filozofów szukających fundamentów niezachwianych i dla polityków goniących za ładem uniwersalnym. Grząska i chybotałliwa zdaje się Levinasowo-Logstrupowa gleba moralności w zestawieniu z żelbetonem rozumu, na jakim myśliciele Oświecenia obiecywali, z pomocą oświeconych monarchów, wznieść siedzibę ludzkości etycznej - całą ze szkła, żeby prze-zroczyście, i ze stali, żeby solidnie. Nie rokuje ta gleba niczego; co najwyżej wolność od złudzeń i katastrof które spadają wtedy i stąd, kiedy i skąd ich się najmniej spodziewa.

Jeśli z wszystkiego tego płyną jakieś wnioski praktyczne - to takie tylko, że na nic nadzieja moralna stawiać nie może poza nieracjonalnym, niekodyfikowalnym, nieuporządkowanym i nieporządkowalnym, niepokornym i nieprzewidywalnym sumieniem moralnym osoby etycznej. Nie ma pewności, że na tej stawce szanse moralne ludzkiej koegzystencji zyskają; jest za to pewność, że na ekspropriacji autonomii sądu moralnego, na zastępowaniu "bezgłósnego nakazu" odpowiedzialności moralnej kodeksem obowiązków prawno-etycznych, mogą one tylko stracić - i stracić dotkliwie. W zgiełku pytań "komu bije dzwon" dźwięk dzwonu tonie i staje się niesłyszalny.

* * *

I wreszcie, by powrócić do punktu wyjścia sporu: czy duch i praktyki nowoczesne "wyjaśniają" epizod Zagłady? Ale ja nie podejmowałem się niczego wyjaśnić; a już szczególnie Zagłady jako "epizodu". Szło mi przecież o co innego. O problem teoretyczny: dlaczego obietnice nowoczesności nie zostały dotrzymane? I o kwestię praktyczną: czy wolno nam dalej przyjmować na wiarę zapewnienia, że co złe, to wynik niedostatku nowoczesności i że lekarstwem na zło jest zwiększenie dawki nowoczesnych specyfików?

Profesor Morawski, mój przyjaciel i oponent bezlitosny, zarzuca mi że przedstawiłem nowoczesność jako monolit, zamiast rozróżnić między jej dwoma obliczami, jasnym i ciemnym. Nie przeczę, że zamiast o jednej twarzy o zmiennych a wymienialnych grymasach posłannictwa dziejowego i dogmatycznego zaciętrzenia, mówić można, gwoli złagodzenia dysonansu poznawczego, o dwóch obliczach odrębnych. Upieram się wszakże przy tym, że nic się od zmiany wyrażenia nie zmieni: "jasne" i "ciemne" nurty nie dadzą się w praktyce nowoczesności odseparować, płyną bowiem one z jednego źródła i to w taki sposób, że jeden bez drugiego nie popłynie i że wyschnąć mogą tylko równocześnie. Nadzieje na to, że można będzie kiedyś, z pomocą zabiegów czarodziejskich, pluskać się w nurcie "jasnym" bez ryzyka pogrążenia się w "ciemnym", należy między bajki włożyć, wraz z pomysłami magnesu o biegunie północnym, bez południowego.